21. stycznia Nr. 3. Rok 1861.

Czytelnia dla młodzieży.

Wychodzi we Lwowie każdego 1., 11. i 21. Bióro redakcyi przy ulicy Halickiej Nr. 457. — Prenumeratę miejscową przyjmuje księgarnia K. Jabłońskiego. — Reklamy wolne są od opłaty.

Cena prenumeraty: w miejscu rocznie 4 zł., półrocznie 2 zł., ćwierćrocznie 1 zł. — Z przesyłką pocztową rocznie 4 zł. 40 cnt, półrocznie 2 zł. 20 cnt., ćwierćrocznie 1 zł. 10 cnt. wal. austr.

URYWKI.

I.

Pełen żalu pyta Kraszewski w jednem z dzieł swoich:

„Dla czego raczej śmiech szatański rządzi świa-„tem, niżeli myśl poważna, niżeli łza święta? Dla-„czego słuchamy rychlej dowcipu niż rozumu, szy-„derstwa niż natchnienia? Dlaczego stokroć poświę-„camy przekonania nawet, śmiesznej bojaźni śmie-„szności; dlaczego? dlaczego?... Tysiące pytań po-„dobnych rozlewają się przedemną, gdy na świat po-„glądam, a odpowiedzi na nią tak ciężkie, tak upo-„karzające!....“

Uczułem głęboko prawdę tego zdania i pytałem również sam siebie: dlaczego? dlaczego?—lecz nie umiałem sobie na to odpowiedzieć; aż niedawno temu jedna z matron naszych, z którą o tem mówiłem, rzekła mi: „Bo nie wszyscy odbieramy na drogę w życie, krzyż na czole, ręką matki nakreślony.“

Zastanowiłem się nad tą odpowiedzią i przyznałem, że jest trafną. Najwięcej istotnie zależy od wrażeń najpierwszej młodości, od pierwszego pokierowania myślą, słowem od domku rodzicielskiego, co jak tarcza ochraniał pierwsze kroki nasze, do którego wraca nieustannie myśl tęskna, tuląc się znękana w wspomnienia o nim. Pierwsze wrażenia w domu rodzicielskim odebrane, to krzyż miłości i wiary na drogę żywota, lub też płomień szydu, niepokoju i zwątpienia, palący piekielnym ogniem czoło niedowiarka.

Szanujmy więc przedewszystkiem dom rodzicielski, szanujmy rodzinne kółko. Świat bowiem zewnętrzny nie posiada warunków szczęścia i nie daje go człowiekowi; widzimy to na każdym, kto wyszedłszy z domu, tęskni przecież zawsze do rodzinnego koła. Tam serce zbolałe składa ciężar, który go przygniata i na sercu rodziców rozgrzewa ziębnięte uczucie; tam odpoczywa umysł znękany walką z światem; tam i ciało znużone najlepiej do przyszłych przysposobić się może trudów.

Oh, bo tak słodko śpi się w domu rodzicielskim! Każdy kątek zaludniony bogami dzieciństwa; do każdej cząsteczki ściany wiąże się cała karta przeżytych dziejów, często smutnych, częściej wesołych, a zawsze nęcących wspomnieniem. Twarz starego sługi przypomina nam przeszłość ubiegłą, niepowrotnie minioną, gdy przed nami roztaczała się przyszłość urocza, zasłana kwieciem i zapełniona złocistemi bańkami marzeń. A gdy opuszczamy te progi święte, aby wstąpić znowu w świat naszego działania, żal ściska nam piersi, a łza tajona nurtując w zbolałem sercu zdradliwie płynie do oka.

Takie uczucia rodzi dom rodzicielski w człowieku niezepsutym. Kto je takie przechował w swem sercu, śmiało niechaj się rzuci w walkę, w świat. Święte wspomnienie rodzicielskiego domu będzie mu gwiazdą przewodniczącą, która mu upaść nie dozwoli.

AKWARELLE.

I.

Sukcessya.

Byłoto 16. stycznia 1861 roku. Przypominacie sobie państwo, bo to niedawno temu, że powietrze w tym dniu było nieznośne, bo to i mróz silny, i kurzawica śniegowa i wiatr piekący.

Gdzie szyby całe, okna dobrze zaopatrzone a drzewo w zapasie, mniejsza o tych ziębiących gości; lecz gdzie bieda, gdzie nędza, gdzie ostatni krajcar wydany na łyżkę ciepłej strawy, ostatnie polanko kupionej w sklepiku za drogie pieniądze wiązanki dogorywa w kominku — gdy w około wieńcem cierniowym obstąpi biednego ojca rój dziatek z sinymi noskami i biedna, trzęsąca się od zimna i głodu gromadka patrzy mu w oczy i rozdziera serce?...

Oh, dla biednych zima jest straszną!

Byłoto tedy 16. stycznia, 1861 roku — we Lwowie. Posunęliśmy się już więc o jeden krok naprzód, bo znamy miejsce działania.

Lwów — akademik któremu wróżą przyszłość — wszak go znacie? We fraku, żupan z szpinką pod spodem, na głowie kapelusz kastrowy a w ręku konfederatka. Przez plecy przywieszoną ma tablicę czarną a na niej biały napis: *nijaki*!

Lecz idźmy za wiatrem. Trudno złapać wiater w polu, powiada przysłowie, ale na ulicy, w mieście, to łatwiej. Jaśnie wielmożny na stepie, wielmożny w polu, w miastowych ulicach ścieśniony, równie jak duch ludzki traci tu na bucie i fantazyi.

Jeszcze i inny jest wiatr, którego się „nosem wącha." Nosy w tej sztuce biegłe zapewniały mię, że czują siarkę, ba nawet chciały słyszeć huki jakieś złowrogie i widzieć rzeczy, na widok których drgało im serce z radości. Ot pletą rozmarneni bajarze!....

A może i nie pletą: wszak nasza pani Częstochowska zawsze równie można a na nas łaskawa.

Otóż wiatr zimny, ale ten prosty, bez zapachu, kurząc śniegiem i świszcząc złośliwie, biegał po ulicach Lwowa. Policzkował nadaremnie krzyształowe szyby w ramach lakierowanych, bił nie bez skutku w skromniejsze miejskie okna, a najbardziej — jak wszystkie istoty bez serca — nęcił się nad biedakami o łatanych lub papierowych szybkach, rozsianymi po zaułkach, poddaszach i przedmieściach.

Na ulicy garnczarskiej stoi domek o trzech oknach, powierzchowności ubogiej. Ku niemu w dniu owym zmierzało trzech młodych ludzi.

To formalne Karpaty — ozwał się jeden, dobrze ubrany — żałuję, żem się podjął odwiedzić szubrawca. Brrr!! I otulił się w futro.

Haniebna ulica! zawołał drugi — że też magistrat nie skasuje takie wąwozy!

Ach, jakieżeście delikatni! — zawołałem zniecierpliwiony. Po polowaniu latacie cały dzień po najgorszych wertepach, a gdy przyszło odwiedzić kolegę, maleńki pagórek wydaje się wam Babią górą.

Umilkli moi towarzysze i stękając szli dalej. W tem pierwszy ozwał się niespodzianie:

Mój drogi! Napisałeś do „Przyjaciela domowego" o leczeniu nosacizny u koni i u dzieci, i zdaje ci się, żeś już literatem i masz prawo kpać cały świat. Zmiłuj się, jeżeli kiedy napiszesz co, a to wydrukują, niechaj ci to nie zawraca głowy i nie służy za patent na nieznośnego nudziarza.

Bo tym panom zdaje się formalnie — poderwał przyjaciel mego przyjaciela z gniewem — że umaczawszy pióro w kałamarzu, atrament zaraz w żółć przemienić się powinien.

A nie wiedzą nieboraki — dodał właściciel futra, że to groch o ścianę. Mogą sobie gadać co się im podoba, a my przez to swoje robić będziemy.

Wy jeszcze lepiej robicie — odrzekłem na to z złośliwym uśmiechem, bo mię rozgniewała taka mowa. — Wy nawet nie czytacie tego co piszą, a przecież — wydajecie o tem sąd swój.

Jakto? — zawołał posiadacz bobrów opryskliwie.

A tak, odparłem spokojnie. — Pamiętacie, jak radziliśmy o Czytelni, jak *jednozgodnie* prawie zgodziliśmy się na to, że Czytelnia nie odpowiada swemu przeznaczeniu, że ją trzeba zreformować, podnieść, polepszyć, poprawić i tak dalej, a.....

No, a....?

A gdy się którego z was zapytano, w czem mianowicie kierunek jej zmienić potrzeba, dla czego nie odpowiada swemu przeznaczeniu, jąkaliście się, nie umieliście odpowiedzieć, słowem pokazało się — ze wstydem to wyznaję — że z małym wyjątkiem wszyscy prawie nie czytaliście jej wcale.

Towarzysze moi nic na to nie odpowiedzieli, tylko skarżyli się na zamieć śniegową. Ale już byliśmy przed domkiem, do którego zmierzaliśmy.

Z trudnością otworzyliśmy drzwi zamarzłe i weszliśmy do zimnej sionki. Mały piesek osmolony, towarzysz z rodu, lecz przygnieciony biedą pokorniejszy od salonowych swych braci, powitał nas urywanem szczekaniem. Na to hasło wyszła z pokoju przyzwoicie wyglądająca podeszła kobieta i po kilkakrotnem machnięciu ręką na krzykliwego pieska, zapytała uprzejmie.

A do kogo panowie sobie życzą?

Do pana Wojciecha — odpowiedziałem najpierwszy.

Do potomka szubrawców — wtrącił niepotrzebnie jeden z moich towarzyszów.

Na te słowa gospodyni domu gniewnie popatrzyła na mówiącego: To jest zacny człowiek — poczęła go bronić gorąco — łagodny, uprzejmy, grzeczny, mieszkał u mnie przez trzy lata i ani razu nie miałam z nim nieprzyjemności.

To tylko przydomek, który sam przyjął, ale rozumieć go trzeba w dobrym sensie — uspokoiłem staruszkę — my również jak pani kochamy go wszyscy serdecznie. Ale czy jest w domu?

Ej, mój Boże! gdzietam. Nie ma go.

Czy wyszedł? — zapytaliśmy chórem, niekontenci bardzo.

Ej nie wyszedł, pojechał — odpowiedziała staruszka smutnie.

A to dokąd? kiedy? wszak wczoraj jeszcze się z nim widziałem.

Dzisiaj raniutko, o piątej.

I nic nie zostawił? żadnych listów, nic?

Zostawił dwie fajki, lichtarz drewniany i jakiś pakiet opieczętowany z napisem: *Wielmożny pan Bartłomiej Trąba, odbierze w miejscu.*

Do mnie więc? — zawołałem, ucieszony, że coś się dowiem o tem tajemniczem zniknięciu. — Dawaj pani, dawaj; chciałbym jak najprędzej dowiedzieć się coś o moim przyjacielu.

Staruszka kiwając głową, otworzyła nam drzwi na lewo. Weszliśmy do małego pokoiku, pobielonego, czyściutkiego i schludnego w najmniejszych dro-

biazgach. Pod niskim okienkiem na stoliku leżał opieczętowany spory pakiet.

Czy ten? — zawołałem niecierpliwy.

Tak jest, ten sam. Ale czy pan dobrodziej istotnie Trąba?

Trąba pani kochana, najpewniej. Świadczę się tu oto mojemi przyjaciołmi. — Rozpieczętowałem pakiet. Najpierwej wpadł mi do ręki list — rozwinąłem go i zacząłem czytać:

„Kochany Bartku! Wyższe względy powodują „mną, że opuszczam na jakiś czas ulicę garncarską: „żyd Silbermann wsadza mię do kozy za 100 złr. „Umieram więc na jakiś czas dla świata, a ciebie „robię moim sukcesorem.“

„Wiesz, że pisywałem do *Czytelni* „Szkice aka„demickie;“ mianuję cię moim następcą w pisaniu „tychże; lecz proszę usilnie abyś pamiętał na słowa „moje we wstępie tychże do czytelników wyrzeczone:

„Chciałbym całe moje serce przelać w wasze „piersi i duszę moją rozdzielić między was, nie zo„stawiając nic sobie. I będę wtedy drżącemi usty „zasyłać modły do Boga, by każda cząstka tej du„szy rozrosła się w większą i silniejszą całość, niż „ta, na jaką składały się wszystkie cząstki we mnie „zawarte.

„Prócz słów tych, jako następcy mojemu zapi„suję ci stary kałamarz, co stoi na piecu, pokąsane „pióro gęsie, i trzy ćwiartek białego papieru. Daj ci „Boże zdrowie i koncept dobry.“

„Skończyłem. Sciskam cię po bratersku — twój
Potomek wileńskich szubrawców.“

Odziedziczywszy tym sposobem prawo i obowiązek pisania, z nieśmiałością chwyciłem za przekazane mi gęsie pióro, pogryzłem go do reszty i nazwawszy szkice moje *Akwarelle*, napisałem ten oto rodzaj wstępu. Przeczytawszy go na drugi dzień uważnie, chciałem podrzeć na miejscu; lecz gdy przypomniałem sobie, że tu nie chodzi o literacką wartość, tylko o cel, który się przez to osiągnąć pragnie, z ufnością w pobłażanie czytelników, zostawiam.

D U M K A.

Jam wielkich ojców wnuk
Królewskiej Matki syn, —
Lecz mój rodzinny próg
Przez krwawy zgwałcon czyn.
Kolebką moją grób,
Pokarmem mi cierpienie;
Więc z zemstą biorę ślub,
Kościołem mi sumienie.

Spokojnie w duszy mej —
W przeszłości strojny blask,
Ja widzę dzieje w niej,
Jasne od ofiar, łask;
I mocnym jako stal
Tych dziejów namaszczeniem,
Sieroty łzawy żal,
Stężał postanowieniem.

Ot widny stary ślad —
Polecę nim jak ptak,
Przebojem w zgniły świat,
Na zbroi wiary znak.
W mej sprawie moja moc,
Rąk moich straszna siła —
Rozwidnię gwałtów noc
Rozpęknie się mogiła.

Z spoczynkiem grzesznym precz!
Pierw piętno hańby zmyć.
Z druhami ściskam miecz,
O wiemy czemu żyć;
A gdy oddamy krew
Tam na zwycięztwa błoniu —
I w niebie wzniesiem spiew:
O Polsce, szabli, koniu.

Korespondencye.

Kraków dnia 17. stycznia 1861.

Z głęboką uwagą przeczytałem twój artykuł wstępny szanowny redaktorze, w numerze 2gim *Czytelni* z dnia 11 b. m. umieszczony, a słowa twoje do młodzieży polskiej wyrzeczone trafiły bardzo do mego przekonania.

Zgadzam się z tobą, bo i któżby się nie zgodził — że młodzież nasza, która ma kiedyś spełniać godnie swe przeznaczenie w obec narodu, powinna pilnie uczyć się dziejów ojczystych i starać się poznać bliżej naród, do którego należy, bo tym jedynie sposobem może się spłacić miłością ojczyźnie i poświęcić się dla niej zupełnie.

Szkoła nie może, a częściej jeszcze nie chce podać młodzieży środków do nauczenia się ojczystych dziejów. Biblioteki szkolne, zwykle bardzo szczupłe, składają się z samych prawie dzieł niemieckich treści moralnej lub z historyi niemieckiej, a jeżeli przypadkiem zabłąka się jaka książka polska, to ją ręka p. dyrektora zręcznie potrafi usunąć na bok, aby w umysł młodzieży wpajać tylko sposób myślenia niemiecki a rugować polski . . . . .

Wy sami więc bracia moi, powinniście się kształcić, powinniście starać się o książki i mapy polskie, aby wiedzieć, dokąd się rozciągała Polska, której Galicya jest tylko małą cząstką; czem byli pradziadowie wasi, kto to był Zamojski, Czarnecki, Sobieski, Kościuszko?

Zgadzamy się tu zupełnie z myślą redaktora, który Wam radzi, abyście zakładając małe kółka literackie, wspólnie uczyli się dziejów polskich, i prenumerując pisma peryodyczne, starali się poznawać stan obecny literatury naszej. Do myśli tej nic przydać nie mamy, jak tylko to, iż wykonanie jej jest bardzo łatwe, szczególniej po szkołach, gdzie większa liczba uczących się bez trudności i wielkiego uszczerbku kilka reńskich miesięcznie złożyć może.

To, co powiedziałem, oparte jest na doświadczeniu, bo znam takie kółka istniejące już dosyć dawno po różnych miejscach, gdzie przy składce bardzo umiarkowanej (10—15 centów miesięcznie) prenumerują 5 pism literackich i jeszcze prócz tego zakupują dzieła historyczne polskie, jak n. p. Szajnochy „Jadwiga i Jagiełło“ lub „Opowiadania o Janie IIIcim“ i. t. d.

Do was więc młodzi przedewszystkiem, którzy macie mir i poważanie u kolegów, należy urzeczywistnienie tej my-

śli zbawiennej w sam czas podanej. Sądzimy, iż koledzy wasi nie uchylą się od należenia do takich kółek literackich, jak tylko pojmą korzyści, jakie z tego połączenia i zespolenia środków (mianowicie pieniężnych) na nich spływać będą.

Z pism peryodycznych polskich radziłbym prenumerować *Dziennik literacki*, *Czytelnię dla Młodzieży* i *Gwiazdkę Cieszyńską*; z dzieł zaś historycznych zakupywać mianowicie dzieła Lelewela, Szajnochy, i t. p. mające wartość nieprzemijającą.

Mam nadzieję, że urzeczywistnienie życzeń tych nie natrafi na żadne przeszkody, byle tylko cokolwiek dobrej chęci — a korzyści z tego będą wielkie i nieobliczone.

Wiktor D . . .

Pokropiwna w styczniu 1861.

Wzmagająca się ciekawość i chęć mych dzieci czytania *Czytelni*, oraz korzyści scyentyficzne i moralne, jakie z czytania jej odnoszą, przekonują mię dowodnie o wewnętrznej wartości tego pisma.

Gazeciarstwo w ogóle, ma trzy epoki życia. Program zapraszający na prenumeratę, nieliczni abonenci, rok pierwszy. Przez patryotyzm tylko, by słowo polskie podtrzymać, przystępują do prenumeraty: to jest *pierwsze jego stadium*, to jest *matura* dziennika.

Jeżeli pismo liche, upada dla braku abonentów, jeżeli odpowie żądaniom czasu i powołaniu, wtedy dopiero zaczyna żyć na prawdę. To jest *drugie jego stadium*.

Nareszcie po dłuższem, lub krótszem istnieniu, ufna redakcya w swą wziętość, zaniedbuje się i upada. To *trzecie stadium*, niestety często się powtarzające w dziennikarskim świecie.

Czytelnia eminentissime zdała maturę. Wszyscy tu pokochaliśmy ją, zatem wstępuje w drugie stadium życia. Chociaż przyjęła skromny tytuł *dla młodzieży*, i my starzy ją czytamy. Między wielu artykułami rzetelnej wartości, życiorys Karola Szajnochy z szczerą wdzięcznością przyjęliśmy. Jednakże nie do przebaczenia światu literackiemu lwowskiemu, że dotąd życiorysu tego męża nie mieliśmy. Indywidualność, która na najwyższym szczeblu tegoczesnej literatury stanęła, tak długo na swego Plutarcha czekać musi. Jak można było po wyjściu na świat Jadwigi i Jagiełły nie obeznać nas z życiorysem autora ozdoby literatury naszej. Pragnęlibyśmy, ażeby redakcya biograficznym artykułom więcej miejsca w *Czytelni* poświęcała. Przedewszystkiem miłym podarkiem byłyby dla nas życiorysy Wincentego Pola, Augusta Bielowskiego i wielu innych, w różnych zawodach odznaczających się ziomków naszych, do czego pana Stanisława Przyłęckiego wezwać radziłbym, pisarza, który znakomicie jest obdarzony talentem biografa.

Jeszcze jedną uwagę, a raczej żądanie kółka w którym żyję — a zdaje mi się że to jest ogólne.

Gdyby redakcya podwoiła cenę prenumeraty, i dwa razy na tydzień wychodziła, miłą by to było dla nas rzeczą.

Józef Poradowski.

Kraków 18. stycznia 1861.

Korespondencya z Kazimierza krakowskiego w Czasie z dnia 6. stycznia, dobre tutaj zrobiła wrażenie. Wszystkich to cieszy, że nasi Izraelici, którzy dotychczas zupełnie obojętnymi byli na język kraju który zamieszkują, zaczynają poznawać co im właściwie czynić należy, aby się zrównać z intelligencyą polską; zaczynają poznawać, że język i wychowanie w duchu narodu, wśród którego wzrośli, jest dla nich niezbędnem.

Podobnież uprzejmie witamy przeobrażenie uczęszczającej do szkół izrealickiej młodzieży; zaczyna ona bowiem przeglądać się bliżej naszej literaturze i język niemiecki na polski zamieniać. — Bardzoby to było dla nas pożądanem, a o ile mi się zdaje i dla izraelickich uczniów obojętnem być nie powinno, albowiem aby się koleżeństwo z innymi uczniami dla nich przyjemnem stać mogło, muszą zmienić mowę i kształcenie się w duchu giermańskim, które z duchem słowiańskiej młodzieży zgodzić się nigdy nie może.

Nie ma zaiste dla kolegów piękniejszego zadania, nad pracowanie nad wspólną zgodą, nad szczere wspomaganie siebie tak moralne jak materyalne, nad dążenie do jedności; bo jeżeli na szkolnych ławkach nieprzyjaźń rozłączy uczącą się młodzież i tak wcześnie różne porobią się partye, cóż naród ma się po niej spodziewać? jacyż to będą obywatele, którzy słodkiej nie zakosztowali zgody, którzy nie wiedzą co to jedność uczuć! — Bogu dzięki zaczynamy poznawać ważność koleżeńskiego pożycia, uczyć się korzystać z czasu, z którego kiedyś ojczyźnie sprawę zdać będziem musieli. Oby tylko związki szczerości, które nas w tych czasach łączą, zawsze istniały; oby z nas inne generacye przykład brać mogły, tak jak my się zapatrujemy na młodzież wileńską, kiedy Mićkiewicz, Zan i inni silnym węzłem miłości nawzajem się łączyli. — Dla nas teraz zgoda i praca to dwa hasła, które nas zbawić mogą! Praca, i to praca usilna, szczera i szybka, według uzdolnienia i upodobania każdego, nie zaś skierowana tylko do tego co nam w obecnej chwili utrzymanie i majątek zapewnić może, ale do celów, które każdemu z nas podyktuje serce, podyktuje chęć obaczenia lepszej przyszłości. Zgoda – łącząca młodzież nie jako zbiór różnych klas towarzystwa, ale jako ideał jednakomyślący, jedne pieszczący nadzieje i jednym ogniem płonący, ku czci Boga i ojczyzny.

C.

MAROCHETTI.

Ustęp z życia włoskiego.

Na obszernem *Largo del Palazzo* w Neapolu liczne roją się tłumy: starzy i młodzi, kobiety i dzieci, zdrowi i kaleki. Ogorzałe ich twarze, bo gorąco świeci słońce w Neapolu—pięknie rzeźbiono ich postacie, bo to kraina piękna— jak wulkan ogniste ich oczy, bo stopy ich depczą podziemne wulkany, a krew ich przez ziemi skorupę wsiąkła ich żar.

Na środku placu trzy pojedyńcze ustawiono stoły, w około stołów szereg na biało lakierowanych krzeseł; ale dotąd nikt jeszcze nie zasiadł je. Otacza je po jednej stronie oddział kawaleryi węgierskiej, świetnie przybranej w naro-

dowe stroje, długim przed pałacem ustawionej rzędem — po drugiej, trzeciej i czwartej jakieś w czerwonych bluzach dziwnie wymowne postacie.

Czy starych Rzymian odrodziło się plemię? Czy zapadłe groby dawnych bohaterów otwarły się po mnogich wiekach i zszukawszy strupieszałe ich kości wydały znowu dawnych Grachusów, Scipionów i Katonów? — Bo ci mężowie w czerwonych bluzach co stoją w milczeniu, podobni są do nich.

To Włosi, nieodrodni wnukowie swych dziadów. To żołnierze co z orężem w ręku oswobodzili ojczyznę i najpierwsi przelewali krew swą za tę świętą sprawę. To bohaterskie resztki owej wybranej garstki, co na dniu 11. maja z ubóstwianym wodzem na czele wylądowała w Marsali i pierwszem z głębi piersi *Wolności* zagrzmiałe słowem, które się chyżo jak piorun po całej włoskiej rozległo ziemi i jednem potężnem uczuciem wszystkie zapaliło serca. A nie małe musiało być ich męstwo, bo z 1080 — już tylko 526 ich stoi.

Stoją i milczą, milczeniem wymownem. Brody jednych pobieliły już lata, twarzy innych zaledwie pierwszą wskazują wiosnę. Jedni bez ręki, drudzy bez nogi, inni ranami i bliznami okryci—świętemi ranami. I oczy ich mówią, że są dumni na nie, a twarze ich rozpromienione, jak twarz Madonny na świętych obrazach.

Słońce gorące listopadowe złotym blaskiem oświecało poważne to zgromadzenie, w którem nagle rodzi się ruch niezwykły. Wszystkich oczy zwracają się ku pałacowej bramie, z której w tej chwili wychodzi otoczony gronem kobiet mąż poważny. Twarz jego piękna, wymowna, łagodna, okolona ciemną brodą. Włosy długie spływają gładko z pod ryżowego kapelusza. Postać krępą i silną okrywa biała bluza spięta czarnym rzemykiem, do którego przypięty pałasz lśniący.

Na jego widok tysiąckrotny okrzyk *viva*! rozdziera powietrze. On zdjął kapelusz i odkrytą głową, uśmiechem i wzrokiem wita wiernych broni towarzyszów. Stanął i mówi głosem dźwięcznym i silnym:

„Znając was, zabrałem się do dzieła, o którem Europa „utrzymywała, że nie jest podobnem do wykonania. Lecz ja „wiem, że z mężami jak wy, wszystkiego podjąć się można. „Dzieło to niemożliwe wykonaliście. Lecz niektórzy z tych „co z nami wyruszyli, są tu nieobecni, kości ich bieleją na „błoniach pod Calatafimi i Palermo — leżą tam *Montanarry*, „*Schiaffini*, *Tüköri*, ale pamięć o nich nie zaginie nigdy. „Niechaj rodzinom ich to świadectwo ich wartości zostanie „jako spuścizna — wy zaś młodzi weterani moi, którzy je „sami odebrać możecie, pamiętajcie, że jeszcze nie wszystko „spełnione i że liczę na was, jeżeli zażądam waszej usługi. „Zacznijmy rozdawanie nagród od tych, którzy polegli w „świętej naszej sprawie.“

Po tych słowach usiadł jenerał na jednym ze stołków i rozpoczęło się wywoływanie imion.

Wyglądał jak trybun ludu, czczony i kochany.

Był to Garibaldi. Obok wodza piękne zasiadły panie; kobiety włoskie, które mleko swych piersi zaprawiały jadem i nienawiścią ku wrogom, aby wykarmić przyszłych mścicieli. Kobiety włoskie, matki i żony bohaterów, same bohaterki: bo były tam pani *Crispi*, ozdobiona w pierwszej expedycyi medalem, księżniczkie *Torrenuella* i *Niscami*, sędziwa księżna *Verdura* z córkami, żona prodyktatora marchesa *Pallavicina* z siostrą, pani *Ayala* i mnóstwo innych imion, które żyć będą w historyi Włoch.

Przed wodzem na stole, stały tace z medalami, pięknie wykończonemi, wielkości reńskiego. W środku po jednej stronie było wyryte: „*Il municipio Palermitano rivendicado*“ a w około brzegu imiona: *Marsala*, *Calatafimi*, *Palermo*, *Melazzo* i rok *1860*; po drugiej był orzeł i napis: „*Ai prodi cui fu duce Garibaldi.*“ Przysunął je Garibaldi i położył na nich rękę. Kilka słów cichych szepnął do brygadiera *Dezza*, poczem tenże wyjąwszy papier z zanadrza, wysunął się naprzód.

Cicho było jak w grobie: tylko gdzieś w dali dało się słyszeć echo nuconej pieśni.

Brygadier Dezza z sławnej dywizyi Bixia, stał chwilkę w milczeniu i rozwijał papier — krocie ócz ku niemu zwróconych pożerało go.

Zaczął nareszcie czytać, imiona młodych włoskiego wodza weteranów. I poczęli występywać z tłumu rozmaite i dziwne, niektóre bardzo piękne postacie. Jedni byli zdrowi i cali, inni mocno pokaleczeni, a jeszcze inni nie słyszeli wołania, bo legli pod *Calatafimi*, *Palermo* i *Melazzo*, lub ranni pod Kapuą jęczeli w szpitalach.

Wywołani, krocząc pomiędzy rzędem towarzyszów, zbliżali się ku stołowi. Kłoniąc głowy przed wodzem, który rozmawiał z nimi poufale, z wyrazem radości i dumy na twarzy nastawiali pierś mężną, do których znana dobrze księżna *Verdura* przypinała oznaki waleczności. Rodem z Sycylii, matka walecznego syna, który się odznaczył podczas powstania w Palermo, miała podwójne prawo do zaszczytu rozdawania daru tegoż miasta.

Marochetti! — zawołał pomiędzy innymi pułkownik *Piva*, pomagający brygadierowi *Dezza* w wywoływaniu walecznych; i oczy starego żołnierza łysnęły niezwykłym ogniem, a potem coś niby łzą się omgliły.

Wybiegł z tłumu dwunastoletni urodziwy chłopak i stanął przed wodzem. W oczach jego przymięszany z wyrazem dziecinnym, właściwym jego wiekowi, przebijał się zapał męża, poczuwającego się, że spełnił godnie powinność swoją.

Wódz na jego widok uśmiechnął się zadowolony, przywołał do siebie, położył mu ręce na ramieniu i ucałował go; a gdy z pięknych rąk księżny odebrał znak waleczności, młody bohater przyciskał go z zapałem do piersi a twarz jego przyszłemi czynami piorunna, przybrała wyraz niemej groźby. Garibaldi kazał mu stanąć obok siebie, gdzie przez cały ciąg czasu pozostał.

Młody Marochetti jest synem lekarza z Wenecyi, który uciekł z rodzinnego miasta, i biorąc z sobą młodego swego synka, poświęcił go na usługi sprawy narodowej.

Po skończonej uroczystości, która trwała przeszło dwie godzin i skromną powagą swoją zgodną była z charakterem męża, który jej przewodniczył, odbyło się w *Foresteria* śniadanie, na które wódz naczelny zaprosił dawnych broni towarzyszów.

K. C.

Miłość — nadzieja — wiara.

(Do D. R.)

Ty nie wierzysz w zaświt słońca,
Świętej wiary nie masz w nic!
Nie chcesz dojrzeć nocy końca:
Zróżowionych nieba lic?

Słońce wzejdzie, jasne, ciepłe,
Światłem rozpromieni świat,
Życiem natchnie role skrzepłe,
Niwy przyodzieje w kwiat.

Spełni zasiewcy nadzieje —
Bo ta miłość to nie szał,
A kto z wiarą ziarno sieje,
Plon obfity będzie miał.

Mówisz z śmiechem, z powątpieniem
O spełnieniu złotych mar,
Nazywasz to urojeniem,
Co mi w sercu nieci żar.

Wiary wielkiej, niepojętej;
Nic z łona nie wyrwie mi —
I nadziei z nieba wziętej,
Co z miłością w duszy tli.

Żywić w niej te dobra drogie,
Namaszczenie to i chrzest;
Wierzyć w przyszłe chwile błogie,
Częścią już zbawienia jest.

Może umrę przed świtaniem
Nim zorze roznieci brzask,
Przed pięknego dnia zaraniem,
Co zwiastuje słońca blask.

Lecz i wtedy pożądane
Owo szczęście błyśnie mi:
Że to słońce wyglądane
Jasno nad mym grobem lśni.

Ćwiczenia hantlami, jako gimnastyka pokojowa.

Tegoczesny rodzaj życia, ludzi mianowicie wykształconych i kształcących się, bardzo jest dla zdrowia szkodliwy. Młody urzędnik cały dzień zatrudniony jest w biórze, student w szkole, poświęcający się naukom przy stoliku — wszyscy prowadzą życie siedzące, nieczynne, a skutki podobnego sposobu życia bardzo są szkodliwe i dają się czuć już za młodu, a bardziej jeszcze w wieku późniejszym.

Dziwią się ludzie, dziwimy i my się dawnym postaciom praojców naszych, zachowanym w portretach i podaniach. Dziwimy się karły, jak one mogły dźwigać na sobie ciężkie żelazne zbroje i dzierzyć w ostalonej prawicy potężne miecze, które my teraz zaledwie oburącz podnieść zdołamy.

Czyż ziemia była inną niż teraz, czy inne jej płody, i lepiej karmiły ich ciała? — To nie, lecz inny był sposób ich życia. Zdrowe i silne matki, silne ciałem i duchem, nie wychowywały rospieszczonych niedołęgów, nie poiły ich denerwującemi napojami, nie karmiły młodej duszy trucizną szkodliwych wpływów, które podjadają na zawsze szczep młody, nie zawijały ich w puchy i pierzynki, gwoli mnożenia przyszłych papinków — ale chowały dla Rzeczypospolitej mężów, dla ojczyzny obrońców, w czem rozumni ojcowie im pomagali. Młody chłopak zawczasu dosiadał konia, ćwiczył się w broni, łaził po drzewach i zbijał bąki, a karku nie złamał; i choć natłukł sobie guza, na drugi raz był ostrożniejszym i strzegł się. A gdy dojrzał ciałem, zaprzęgnięto go do nauki. I uczyli się wtedy, pilnie się uczyli, bo mieli siły po temu. I mieliśmy tym sposobem Tarnowskich, Czarnieckich, Koniecpolskich, Zamojskich, równie tęgich głową jak ramieniem.

Ale minęły już, na zawsze zapewne, czasy idyliczne, gdy ludzie żyjąc w stanie natury, dochodziły do jak najwyższego rozwoju fizycznego; a dzisiejsi doktorowie, radcy, sekretarze, literaci, słowem cała rzesza biuralistów, smutno dawnych przypomina pasterzów. Minęły również czasy średniowiecznego barbarzyństwa, gdzie ramię silne było ostatecznem celem żywota: czyby jednak i teraz z pracą ducha nie dało się bardzo dobrze połączyć i większe staranie o ciało?

Widzimy, że narody, równie jak wszystko na świecie, mają wiek niedołęztwa, najwyższego rozwoju i strupieszałości, wtedy się rozpadają. Widzimy również, że w przebiegu rozwoju tego istnieje pewna powtarzająca się zawsze rotacya: wiek każdy składa swój nabytek w skarbnicę doświadczenia i wiedzy, i znowu jedno i toż samo przebiega koło, tylko pod odmiennemi warunkami.

Czas obecny jest epoką przejścia, pochodem ludzkości ku lepszemu. Pozbywamy się przesądów, co jak dzwónki błazenka grały nam dotychczas na głowach — z starej skorupy nowa wykłuwa się poczwarka. Zwrot ten jest powolny, lecz dziś już widoczny — we wszystkiem.

Do tych przesądów, czyż nie należało także zbytnie pieszczenie dzieci, a późniejsze zaniedbanie zupełne kształcenia siły fizycznej w młodzieńcach? — A jednak ciało silne to warunek konieczny pożytecznego bytu na ziemi, a i ono jak wszystko, potrzebuje pielęgnowania: a pielęgnowanie to nie kończy się na samem tylko pożywieniu, ale wymaga także nieustannego ćwiczenia sił.

„Życie to ruch, ruch to siła, siła to zdrowie" — oto zasada konieczna do fizyologicznego pojęcia ludzkiego życia, dlatego też ćwiczenie siły muszkularnej zawsze w wielkiem zostawało poszanowaniu. Podobne ćwiczenia systematycznie przedsiębrane, mogą mieszkańcom miast i w ogóle wszystkim na życie siedzące skazanym, wynagrodzić choć po części ruch, świeże powietrze i zdrowe pożywienie, czem się cieszą wieśniacy.

Lecz nie wszyscy chcą i mogą odwiedzać zakłady gimnastyczne: jednym nie pozwala na to czas, drugim kieszenia, a innych żenuje to, przewracać koziołki podług komendy. Rozmyślano więc nad tem, czemby ćwiczenia te zastąpić sie dały — i najpraktyczniejszemi okazały się tak zwane hantle, czyli żelazne lub ołowiane dwie kule, spojone rękojeścią. Wiem, że nie jeden używałby tego środka zbawiennego, gdyby tylko o nim wiedział; sądzę więc, że zrobię przysługę, donosząc o nim tym którzy go jeszcze nie znają, a przypominając tym, co go znają a o nim zapomnieli. Ćwiczenia te nie wymagają żadnych innych kosztów prócz sprawienia tych żelaziw, mogą być przedsiębrane na każdem miejscu, w każdym czasie, i służą do wzmocnienia tych części ciała mianowicie, których ćwiczenia najbardziej się zwykle zaniedbuje. Za skazówkę zaś posłuży najlepiej znane

powszechnie dziełko *Maurycego Klossa*, wyszłe także w polskim przekładzie, którego dostanie u Wilda i w każdej lepszej księgarni.

Nie chodzi tu jednak bynajmniej o figle, jak się komu zdawać może, o bezcelne i bezskuteczne wywijanie i wymachiwanie rękoma. Mówiłem o tem umyślnie z kilkoma postępowymi naszymi lekarzami a ci zapewniali mię, że ćwiczenia podobne systematycznie i wytrwale przedsiębrane, działają najzbawienniej na płuca i regulują cały proces oddychania. Ścieśnienie piersi, tuberkuły, kaszle, słowem cały zastęp tak piersiowych jak i innych cierpień, mogą tym sposobem w początkach być uleczonemi i łatwo zapobiedz im można. Słowem wpływ podobnych ćwiczeń codzień bodaj przez kilkanaście minut przedsiębranych, jest nie do uwierzenia prawie; jak je zaś przedsiębrać należy, pouczyć się można w wyżwspomnianem dziełku.

Za śmiałe byłoby twierdzenie, iż gimnastyka połączona z skromnem i umiarkowanem życiem, zdołałaby sama jedna postawić ludzkość znowu na nogi—że jednak w fizycznem rozwoju zbawiennie działać może, to rzecz niezawodna. O tej prawdzie inne narody przekonały się już dawno, Niemcy mianowicie, gdzie gimnastyka zaprowadzoną jest przy wszystkich niemal szkołach a nawet wiejskich szkółkach, podczas gdy u nas pojęcia te, tam już dawno w życie wprowadzone, dopiero rozpowszechniać się zaczynają. Nie wiem jednak, dlaczego tak długo czekać z przyjęciem i zastosowaniem tego, co tak łatwe do wykonania?

Mam nadzieję, że nie jeden pójdzie za moją radą, a wtedy sam się przekona dowodnie o zbawiennych skutkach tego tak pojedyńczego środka. *K. C.*

Kilka słów o naukach klasycznych, oraz potrzebie ich w naszych szkołach.

(Wyciąg z mowy B. Trentowskiego)

(Dokończenie.)

Otoż humanistyka, jako najwdzięczniejszy i najwyborniejszy wyraz europejskiego ducha zdrowego i swobodnego, a moc światła, przełamującego ciemności —jako przeciwstaw i równoważnik onych dwu zmór, ocalający nas od zazyatyczczenia, jako probierz najdoszkonalszy naszego rozumu i serca, obywatelstwa i dobrego smaku, patryotyzmu i moralnego obowiązku, sama jedna godna jest tego najprawdziwiej, ażeby zrobiono ją wszech nauki szkolnej gruntem i piastą. Tak nakazuje rzetelne rzeczy pojęcie i miłość dobra ogólnego, nam zaś Polakom patryotyzm.

Literatura klasyczna w szkołach naszych; to przeszłość wielka, świetna, myśląca i głęboko czująca na terazniejszości piersiach. Przez nią tedy ułacnia się młodzieży *zjednoczenie z jeniuszem ludzkości wszech czasów*. Jest to jedyna do wielkości droga.

Nauki *realne* przyniosły Europie dobrodziejstwa niezaprzeczone. Któżby nie uznawał, że astronomia Kopernikusa roztworzyła nam nieskończoność tego, zaczem i tamtego świata, wszech jawu i wiekuistej jego istoty, człowieczeństw systemów słonecznych i Boga? któżby przeczył, że geognozya uczyniła stare kosmogoniczno-religijne podania rzeczą albo jasną i zrozumiałą, albo już obędną; że chemia rozproszyła stare cuda i dziwy, a stała się tamą przeciw kuglarstwu świeżemu; że matematyka, odsłaniając prawa przestrzeni i czasu, upewniła nam w wysokim stopniu panowanie nad materyą? któżby się nie cieszył ztąd, że czas ciemności grubej i dzikiego zababonu już nie wróci? Nauki realne podniosły oświatę nowożytną, a urodziwszy przemysł, w cuda dziwy innego rodzaju niż dawne tak szczodry, wzmogły bogactwo i polityczną potęgę narodów, a dają chleb krociom biedaków. Ja nie potępiam ich bynajmiej, i owszem ,uwielbiam je gorąco i oddaję im pełną sprawiedliwość. I dlatego niechaj mi wolno będzie odsłonić i słabą a niebezpieczną dla ludzkości nauk realnych stronę. One zajmują się wyłącznie tym, a nie tamtym światem; skorupą i łupiną, a nie jądrem rzeczywistości. Czynią o siłach i potęgach przyrodzenia, lecz milczą o Bogu, o świętości i cnocie, o patryotyzmie, o wszystkiem, co moralnie wielkiego, szczytnego, zacnego jest w człowieczeńskiej duszy i piersi. Wiodą w końcu do materyalizmu, cielesnego żywota i cywilizowanego zezwierzęcenia świata. Oddają tedy niepospolite przysługi społeczeństwu, ale jedynie *obok i pod przewodem nauk humanistycznych*, to jest klasycznych, etycznych, prawniczych, politycznych i filozoficznych.

W krajach, gdzie znają się dobrze na potrzebach europejskiego ducha, widzi się dwojakie szkoły: *realne*, wychowujące matematyków, inżynierów, architektów, fabrykantów, kupców, techników, wszech przemysłowców i *humanistyczne*, niosące młodzieży język grecki i rzymski, literaturę klasyczną, filologią, słowem nauki najprzedniejszego toru *). Pierwsze dają chleb i panowanie nad naturą: drugie zaś chwałę i panowanie nad ludźmi. Tamte zowią się *niższe*, te *wyższe*.

Nauki realne, jako się już rzekło, wiodą do materyalizmu, do własnej korzyści, do sobkostwa; nauki zaś humanistyczne do etycznych i patryotycznych drgań serca, do bożoczłowieczeńskich myśli, uczuć, czynów i poświęceń.

Smutna to w końcu końców sprawa, choć za nią tyle mówi, przytulać do piersi dobroczynnej i ciepłej przemysłowców, a zamykać drzwi dla młodzieńców, chcących oddać się wyższym zawodom; brać pod opiekę tych, z których nie jeden może, stosownie do nadanego sobie za młodu dążenia, żyć będzie głównie *dla chleba*, zaczem *dla siebie*, a odpychać tych, co chcą żyć dla światła, dla dobra ogólnego i narodu. —

Kraj potrzebuje mężów z górną myślą, z gorącem uczuciem, z bohaterskiem starych Greków i Rzymian tchnieniem. Coraz więcej przybywa obywateli w kraju, którzy, przy najlepszych chęciach, noszą w głowie albo pustki, albo też dziwne jakieś błędokręty, a nie umieją nawet pisać po polsku ortograficznie. Potrzeba im umiejętności *ducha*, a wy dajecie umiejętność *ziemi*! O, ważniejsza dla kraju wychować jednego Mickiewicza, niż całe zastępy realistów!

*) Mamy sobie za obowiązek przy tej sposobności polecić najgoręcej polskiej młodzieży dzieło: *Prelekcye o filologii klasycznej i jej encyklopedyi, Antoniego Małeckiego doktora filozofii b. prof. Uniw. Jagiell. wyszłe w Krakowie* 1854 *r. w* 8ce nakładem Towarzystwa naukowego krakowskiego. P. R.

Nekrolog.

Balikowski Władysław, słuchacz wydziału medycznego na wszechnicy Jagiellońskiej, zmarł na dniu 6. stycznia 1861 w Krakowie.

Poskarżyć się głośno Bogu i ludziom słowami, chociaż cząstkę żalu wypłakać, dobry to zwyczaj, bo ulgę sercu sprawia. Ja dzisiaj chcę się poskarżyć w imieniu zapłakanej rodziny, w imieniu smutnych kolegów zmarłego. O! godzien współczucia smutek ich, bo oni smutni dla tego że stracili poczciwego syna i brata, smutni dla tego, że stracili szczerego przyjaciela, smutni dla tego że kraj stracił jednego z tych, co na orłów rosną i przeciw wichrom pierś otwartą niosą. — Ociężkaż dola nasza. Każdy dzień dla nas zadusznym, każdy nam groby mnoży. Tracimy codzień starych rycerzy naszych; a niema komu zastąpić ich. Więc jakżeż przykro, jeźli z nielicznej gromadki wiernych znika młody, kochany, strojny w wielkich nadziei urok. I jakżeż dziwnie się to złożyło! Tak niedawno temu krzątał się zmarły serdecznie gwoli oddania pogrobowej czci śpiewakowi wawelskiej katedry. W młodzieńczej ochocie naraził się, śpiewając requiem nadwerężył piers, na cmentarzu się zaziębił i dług polskiego serca ofiarą żywota spłacił. Jednak nie rozpaczajcie krewni i przyjaciele. My przecież wierzymy w Boga na niebie, w sprawiedliwość na ziemi. Wielka przeszłość to nasze wydarte nam dziedzictwo, niewola to nasza hańba i ból, zemsta to nasz pacierz powszedni, naprzód! to nasza pieśń prorocza, ciągły płacz nad mogiłami i nieustanna walka to nasze życie, zwycięztwo to przyszłość nasza.! A więc groza życia, a więc wielkość przeznaczeń naszych, niechaj ukoi żal po tej świeżej stracie jednego kłosu z narodowej niwy, który skromnie uchylił się w ziemię, aby czystą duszą swoją ulecić w niebo, jako anioł stróż poczciwych prac naszych. A więc otrzyjmy łzę żalu, zahartujmy się i tym nowym bolem, rozbierzmy pomiędzy siebie i spotęgujmy doniosłość zacnych chęci zmarłego, a jeźli godnie wypełnimy wyłom pośród nas powstały, to będzie najpiękniejszym pomnikiem naszej dla zmarłego przyjaźni.

PODZIĘKOWANIE

paniom naszym za współudział w składkach na „Dom dla ubogiej uczącej się młodzieży."

Za współczucie, za udział Wasz z serca dziękujemy; dziękujemy za wsparcie, za pomoc, przy której biedni bracia nasi podniosą się do czynów i pracy w wspólnej nam sprawie. Pomagacie umysłom się rozświecić, ramieniu zpotężnieć, gdyż wiecie gdzie umysł poprowadzi, gdzie ramię uderzy; bo:

Dziś z nas każdy w poczwarki owinięty pleśń
Lecz obudzi się kiedyś, i zanuci pieśń.

Sercami Waszemi siejcie pilnie ziarna, a niedługo będzie wiosna i ziarna poschodzą i plon z czasem będzie, a plon ten Waszem będzie dziełem!

W imieniu więc tej biednej młodzieży, którą wspomagacie, dziękujemy Wam, i w jej też imieniu pozwólcie nam przysiądz, że się nie zawiedziecie, że ziarnka zasiane rękami Polek, nie na opokę padły.

Wielki ten naród, którego wszystkie pulsa takiem ogniem miłości braterskiej płoną, takiem życiem wrą! On nie zaginie! On będzie wiecznym, tak jak ten jest wiecznym, który mu wiernych synów dał; tak jak ten jest wiecznym, któren go tarczą pod Grunwaldem, Byczyną.... i przy tylu innych osłaniał okazyach.

Pod jego tarczą i my dojrzejemy na mężów, godnych ojców naszych, a chcąc, aby i ubożsi bracia nasi korzystali ze skarbów nauki i wiedzy i mieli pole kształcenia się na synów ojczyzny, prosiemy, pomagajcie nam w tem dziele, i dziękujemy raz jeszcze z serca za udział Wasz dotychczasowy.

Młodzież polska.

Rozmaitości.

Co w nas w pierwszych latach wpojono, to zostaje nam aż do grobowej deski; kiedy wszystkie późniejsze nabytki łatwo się zacierają w pamięci i sercu, wszczepione w dzieciństwie uczucia i pojęcia przeistaczają się później w niezłomne przekonania i prowadzą nas przez całą drogę żywota. Religia nie da się nigdy wykorzenić zupełnie, choć ją na chwilę przytłumi czas, zepsucie lub zwątpienie, ozwie się przecież bodaj na śmiertelnej pościeli i w najprzewrotniejszem sercu; a to dlatego, żeśmy już z mlekiem matki wyssali wiarę i ona się stała konieczną potrzebą duszy naszej. Od pierwszych wrażeń, od pierwszych nauk, zawisa niezawodnie zwrot całego życia i na tych podstawach rozwija się charakter człowieka.

Z pierwszym pacierzem więc i z pierwszą literą abecadła, powinno dziecię uczyć się tego, co mu ma być najdroższem po Bogu, co mu ma być wskazówką w działaniu. Po świętych prawdach wiary najważniejsza pojąć swoje stanowisko i nauczyć się pełnić obowiązki, ktore z nami wspólnie się rodzą i ciężą na nas aż do grobu.

Ale każdy człowiek jest cząstką jakiegoś narodu i tylko łącząc się ściśle z tym narodem może zadosyć uczynić obowiązkom i powołaniu swemu. Minęły już bowiem czasy, kiedy ludy jak trzody żyły gromadnie, amalgamując się w konglomeraty bezbarwne; dziś każdy naród odgranicza się na zewnątrz, a tem silniej jednoczy się w sobie samym. Ta podwójna dążność jest niezawodnie cechą i zadaniem nowożytnych dziejów. Poczucie narodowości jest pochodnią, która w dzisiejszej historyi rozświeca zamęt i wskazuje drogę w przyszłość. Wyszliśmy już ze stanu niemowlęctwa — tylko dziecię miesza swoją istotę z zewnętrznym światem, ale młodzian dumnem okiem mierzy przestrzenie, a mąż staje silny jak skała i panuje na wewnątrz i zewnątrz.

Trzeba zatem uczyć tego dzieci, by nie zapominały o sobie, o obowiązkach względem narodu i ojczyzny, by urosły w młodzieńców nowej epoki i dojrzały w mężów potęgi i siły. Podstawą takiego wychowania i takiej nauki jest narodowość; ale nie owa beztreściwa, imienna tylko, lecz głęboko pojęta na zasadach swego bytu i swoich praw. Już od kolebki należy dziecięciu zaszczepiać miłość ojczyzny i narodu, aby zajęła całą istotę jego i zagrzewała w późniejszym wieku męża do czynów poświęcenia.

Więc obok modlitwy za matkę i ojca, niechaj dziecię uczy się i odmawiać modlitwę za dobro ojczyzny i narodu swego. A gdy przyjdzie do abecadła, niechaj razem z pierwszą literą poznaje, czem stał jego naród i jaka za nim leży przeszłośc. Na licho nam te alfabety za zwierzętami — wasze dzieci mogą i powinny mieć abecadło bohaterskie i obejdą się bez lwów i tygrysów. Tak n. p. A. Anioły pod ubogą Piasta strzechę przynoszą z niebios wieszczbę przyszłej sławy. B. Bolesław Chrobry i słupy żelazne, lub Bolesław Krzywousty i kapusta. C. Czarnecki i Szwedzi. G. Goworek i Leszek. I. Jan III. Wiedeń i wąsy. K. Kniaziewicz i kapitolium, lub hetman w krakowskiej sukmanie. Jakiby to był prześliczny alfabet, a jaki bogaty w piękne i świetne obrazy, a jeszcze bogatszy w rozmaite przykłady. Dziecię miałoby przed oczyma pamiątki dawnej wielkości i owe spiżowe postacie dziejów naszych, owych mężów, co nie powstali ani z roli ani z soli, ale z tego co ich bolało.

By zbytni blask nie olsnił młodych ócz, nie rozpieścił ducha, więc do obrazu i cienie przymięszać należy. Nie zawsze bowiem czara nektarem się pieni—są chwile że i puhar cykuty spełnić trzeba. Więc owe groby w katedrzy Wawelskiej, więc owe mogiły na stepie i ciemne sklepiska, łańcuchy, krew, jęki konania i Targowica i St. Domingo. Nad tym całym szeregiem liter niechaj czuwa w górze Opatrzność Boża; a owi goście Piastowi ciche łzy ronią nad ziemią gościnną i szepcą modlitwę: „Ulituj się Panie za łez tyle, za krwi tyle przelanej za wiarę, za męki, za cierpienie, i zeszlij o Panie nadzieję, niech w zmocni ich serca i podniesie ducha." I wieje nad groby srebrny głos aniołów, na śpiących królów twarze pada drżący blask księżyca, niby posłannik z niebieskiej krainy, na mogiłach iskrzą się krople rosy niby brylanty w męczenników tryumfalnej koronie. A nad mogiłami zadumani wieszcze siedzą i dzwonią pieśni natchnione od Boga, a w pieśniach ich wróżba przyszłości. Niżej po boku, niby w ramkach obrazu, niechaj staną święci patroni, po jednej stronie Gniezno stare, po drugiej Kraków królewski, spodem Wisła płynie i lecą skrzydlate jeźdźce.

Takiego abecadła niech się uczą dzieci nasze. Nad jedną literą niechaj chłopiec łzę uroni, nad inną serdecznie się zaśmieje, nad trzecią oko niech mu spłonie zapałem i serce zadrga. Wtenczas mu pewnie litera zostanie w pamięci, a co głowa i serce zyska tego nie wypisać.

Od pierwszej chwili trzeba, żeby wiedział chłopiec, iż mu życie miodem i mlekim nie spłynie. Więc gdy czytać zacznie, niechaj obok biblii i żywotów świętych czyta żywoty owych męczenników, których pochłonęły podziemne kopalnie, lub zamroziły lody północy. Od tego co największe i od tego co najboleśniejsze poczynajcie naukę, a pewnie dobre wyda owoce. Komu dzieckiem w duszy zagra taka harmonia, z surm wojennych, okrzyków tryumfu i jęków rozpaczy, ten się mężem nie ulęknie najsroższej burzy; komu dzieckiem takie obrazy bohaterów i męczenników staną na oczach, tego mężem nie omami złudny połysk mamony.

Będzie miał miłość współbraci za życia, a wieczną pamięć i błogosławieństwo za grobem.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Karol Cieszewski. W drukarni Kornela Pillera.